

KSIEGOZBIÓR



WC 37



ROMANOWSKI

W SŁOŃCE

Czasopismo młodzieży lubelskich szkół średnich

Istnieją prawa nie oznaczone paragrafami kodeksów i przepisów, a wypracowane przez najgłębszą świadomość zbiorowości, tworzą podstawę jej istnienia. Warunki konieczne dla istnienia zbiorowości narzuca rzeczywistość i ona tworzy zbiór przykazań, które musimy spełniać mimo krytycznych odruchów rozumu.

O takim katechizmie polskich prawd — nie objętych literą prawa, bo sięgających do sfery odczuwania i rozumienia jednostki, — zapominamy często wrastając w skomplikowane systemy życia. Uchodzi uwadze niezaprzeczalna prawda biologicznej i duchowej odrębności każdego narodu, prawda zmuszająca szukać dla niego odrębnych form istnienia. Skłonność do dumnego, kosmopolitycznego gestu i zbratania się międzynarodowego bywa często niedostrzeganiem bliżej stojącej rzeczywistości. Wzrok kierowany w stronę wysoko zawieszonego ideału pomija ten moment, który jednak głęboko rozumiało i przeżyło polskie pokolenie ludzi bezdomnych, błakających się w bólu i osamotnieniu po przestrzeni Europy. — Pokolenie ludzi bezdomnych rozumiało, że warunkiem istnienia polskości jest polska państwowość, wyrastająca ponad inne narody i swoją wielkością zmuszająca innych do szacunku.

Wiekowe przeżycia narodu tworzyły świadomość o konieczności istnienia Polski tylko jako mocarstwa — jakkolwiek kompromis pociągał za sobą nieuchronną tragedię tułaczki i stopniowej zraty. Na węgotację nie pozwalają warunki polityczno-geograficzne. Na tej płaszczyźnie niwelowały się różnicowania społeczne i polityczne pokolenia bezdomnych. Moment zjednoczenia pozwolił polskiemu narodowi na wiekowe przetrwanie w całej pełni i świeżości sił, mimo ogromnego ciśnienia zalewu wrogów.

Współczesna młodzież polska nie zna uczuć bezdomności i stąd skłonność do rozbiegania się w prawo i lewo, porzucanie placówek pracy. Zamiast twardej woli wytrwania przy budowie polskiej państwowości trwamy w indywidualnym buncie, który bywa często buntem swawoli. A przecież nakaz wiecznego czuwania i umacniania polskiej państwowości to nakaz istnienia — I o tym nakazie nie wolno nam zapominać. Wszelka indywidualność, wszelkie różnicowania poglądów muszą się mieścić w ramach polskiej racji stanu i ją umacniać.

Wśród polskiej młodzieży musi nastąpić taki sam fakt zjednoczenia, jaki miał miejsce wśród pokolenia ludzi bezdomnych. Nie mogą stać na przeszkodzie żadne różnice zapatrywań. Polski indywidualizm tak niejednokrotnie twórczy, nie może tym razem przyczyniać się do unicestwiania polskiej państwowości. Praca nad budową mocarstwowości Polski, to nie chwilowe hasło i nakaz, ale zrozumienie najgłębszej prawdy istnienia polskości.

To zrozumienie powinno jednoczyć wszystkie odłamy polskiej młodzieży.

jerzy pleśniarowicz

Hartwiżanka J.

s t a d

józefowi czechowiczowi

Wiersz muzyczny

niebo kędziory płowe płókało fiolet
w jeziorze noże kręgów krajały toń
wiatr po strunach szelestach trzcinach

połem topole
siersz zielona tamtędy błon
zaczynaj

dzwony dzwony
dzwony zielone
lipowych dzwonnice
zielone tony

szumów pnie borem toporem niepokój drwał
droga noga za nogą

chałupy w wiankach z malw

spląwały splawne rzeki potratowane tratwami
rzeki szare spojrzenie żal
brzeg rzek że brzegu nie ma mgie
za dniami
dnie

mrocznej na łące gwiazd księżycy kosa
straż drzew gęstwiny wież

przez przetak nowych godzin przesiany
[mrokiem makiem
pierzcha zmierzch

boso rosa
u
bruzd

i
siwe wschodu rumaki
snopy światła wiózł świtu wóz

Na powiekach tańczą tony.

Przez lekkie firanki

przesmuża się melodia przezroczystych światła.

Wysokie, duże liście

mocnym, czarnym cieniem siadły na ścianach

miętko uspionych wieczorem.

Na stole rodzinna serweta

pachnie chlebem, gazetą —

— tęsknotą — tęsknotą.

Oczy nakryjesz tonami bladymi

i przez nie popatrzysz...

...firanki się chwieją

i taki jest smutek na kwiatach...

Na oknie się niebo rozlało ultramaryna płamą.

A tuż obok jest białe i nieznane okno —

— piosenka: francuska samotność

skarży się dźwięcznie, dziewczęco.

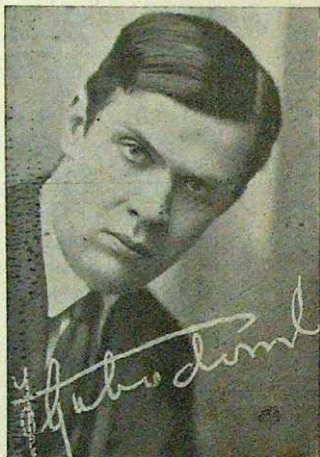
A niebo i gwiazdy — i gwiazdy

wpłynęły na jasną serwetę

i liczysz ta twoja... ta moja...

Na powiekach tańczą tony.

Rozmowa z Józefem Łobodowskim



Nota bio- i bibliograficzna.

Józef Łobodowski urodzony 19.III 1909 r. we wsi Parwiszki, na Suwalszczyźnie, podczas wojny przeżywał w Rosji. W Lublinie uczęszczał do gimn. im. Hetm. Zamojskiego, gdzie redagował „W słońce”. Wydał „Słońce przez szpary”—1929, „Gwiazdny psalter”—1930, „O czerwonej kwi”—1931 (skonfiskowane), „W przeddzień”—1932, „Rozmowa z Ojczyzną”—1935, „U przyjaciół”—1935 (przekłady), „Rozmowa z Ojczyzną” (drugie wydanie) — 1936, „Demonom nocy”—1936 (nagroda P.A.L.).

— Chciałbym dowiedzieć się od pana, jako założyciela i pierwszego redaktora naszego pisma, w jakich warunkach powstało „W słońce”?

— O ile sobie przypominam historia zaczęła się w 7 klasie. Na lekcjach polskiego odbywały się żywe dyskusje na tematy literackie. Brało się romantyzm — materiału dyskusyjnego było dużo. P. Prof. Gdula, wnioskując z zainteresowań uczniów, doradził, aby stworzyć szkolne pismo poświęcone literaturze. Praca następcza trudności. W tym czasie wyraźnie zarysowywała się rywalizacja międzyszkolna, zwłaszcza w zakresie przedstawień teatralnych, które organizowała każda szkoła. Zaczęła „Lubelska”, gdzie wyróżniał się Małgorzewski, później my wystawiliśmy „Mazepę” i „Cyrana de Bergerac”.

Czasopismo przyjęto w innych szkołach z niechęcią i zazdrością; z tego powodu było ono deficytowe. Niedobory pokrywała szkoła. Raz fundusz pochłonął także jedną moją pensję (przez wakacje pracowałem w telegrafii). Z drugiej strony starałem się o amortyzację kapitału. Nie płaciłem za Koło Rodzicielskie i pojechałem na Powszechną Wystawę Krajową do Poznania. Reperowaliśmy finanse imprezami i tak odbyła się zabawa „W słońca”. Poza zadowoleniem nie dała spodziewanych dochodów.

Głównym działem w piśmie była „Litera-

tura i Sztuka”, obok tego kącik radiowy, sportowy i „Życie szkolne”.

Dział literacki wypełniałem przeważnie sam. Drukowałem utwory pod pseudonimem „Brodzki”, „Rysz. Niwiński”, „Stanisław C-ski”. Najczęściej ukazywały się prace Kunowskiego, Postępskiego i Miklaszewskiego.

— Jak kształtowała się pańska twórczość poetycka?

— Bardzo dużo pisałem od IV klasy. Jak mię wywalili z budy wydałem książkę „Słońce przez szpary”. Gdyby nie to, ukazałaby się ona w rok, czy dwa lata później.

Używanie małych liter było podyktowane względami cenzuralnymi. Usunięcie interpunkcji daje wiele zajęcia cenzorowi, a w międzyczasie introligator mógł oprawić uratowane egzemplarze „Barykad”. Dzisiejsza forma nie jest nawrotem do tradycjonalizmu, lecz wyzbycia się graficznych dziwactw, popularnych w okresie „Sturm und Drangperiode”. Obecnie dochodzi się do klasyczności, do pewnego dojrzewania. Świadczy to też o wylamywaniu się z doktryn, a o dążności do własnej prawdy poetyckiej, własnej rzeczywistości. Każdy musi wypracować swoje oblicze; nie znaczy to, ażeby poeta nie miał korzystać ze zdobyczy innych. Należy tylko rozróżnić

rodzaje wpływo logii. Tak jak uczone obowiązuje jest brać pod uwagę to, co inni właśnie wypracowują, tak i poeta musi liczyć się ze zdobywcami innych, musi umieć przyswoić je sobie i przetrawić.

— Co sądzi pan o wartości prasy młodzież?

— Wypada tu zjechać politykę „Kuzni Młodych”, która nastawiała młodzież jednostronnie w pewnym kierunku.

Praca w pismach uczy samodzielności i przygotowuje do zadań na szerszą skalę.

Grafomania jest szkodliwa raczej u starszych niż wśród młodzieży.

Mówimy dalej o wpływach poezji rosyjskiej na współczesną poezję polską.

— Okres wydatnego działania poezji rosyjskiej, związany z nazwiskami Błoka, Majakowskiego, Jesienina i in. — minął. Wprawdzie istnieje jeszcze dużo zależności w zakresie formy (np. charakterystyczna jesieninowska metafora) ale nie tak wiele, jak za czasów futuryzmu, czy „Skamandra”. Zdobycze zasymilowane stały się własnym dorobkiem. Z drugiej strony zależności dotyczą poetów wczorajszych; dziś poza Pasternakiem poziom obniżył się znacznie.

— A jak przedstawia się sprawa przekładów?

Popularny tłumacz Lermontowa i Jesienina („U przyjaciół”) odpowiada:

— Tuwim wzorowo przekłada klasyków — Puszkina. Wyróżnić należy Broniewskiego, Podhorskiego-Okołowa, Czechowicza i Jaworskiego.

Józef Łobodowski przechodzi do omówienia problemów współczesnego życia literackiego:

— Grupy wynikły z tego, że młodzi poeci łączyli się razem, celem wspólnych wystąpień. Było dużo „izmów” i doktryny, ale to minęło.

Dzisiaj rola „Skamandra” jest już chyba skończona i panuje indywidualizm. Zespołowo na nie nie zanosi się. Długo zwartą grupę stanowiły „Żagary” w Wilnie. Z chwilą gdy każdy z członków zespołu zaczął się wyodrębniać i kryształizować, między np. Miłoszem i Zagórskim wytworzyła się przepaść. Były ostatnio w Warszawie próby, mające na celu stworzenie odpowiedniego poetyckiego pisma, ale rozwały się przez brak konkretnych podstaw finansowych.

Z krytyką jest źle. Piszą przeważnie poeci, odgryzając się nawzajem. Uderza nieznajomość poetyki. Są fachowcy, jak Zawodziński, ale ci mają swoje uprzedzenia. Poloniści do spraw po-

etyckich nie mają przygotowania—to raczej filologowie. Z młodych naprawdę bardzo dobrze zapowiada się Siedlecki, jeżeli chodzi o prace nad wersyfikacją. Kurek powiedział, że w związku z „Grypą” nie miał ani jednej krytyki, a tylko recenzje. Może trochę przesadził. Faktem jest jednak, że rola zapadająca krytyki przedstawia się znikomo. Stanowi ona coś w rodzaju bodźca dla ambicji, kłując, albo głaszcząc.

„Rozmowę z Ojczyzną” przyjęto przychylnie, ale były to zaledwie próby informacyjnego uprzedzenia autora społeczeństwem.

To, że nie mamy krytyki na wielką miarę a nawet mniej lub więcej kulturalnej, wiąże się z bardzo mizernym zainteresowaniem poezją i jeszcze mizerniejszym znawstwem w tej dziedzinie.

— Charakterystycznym zjawiskiem jest odrodzenie epiki. Poematy pana, Czuchnowskiego, Piętaka i Pietrkiewicza wprowadzają do poezji szerszy oddech epicki.

— Czy można nazwać to odrodzeniem epiki? Są tylko usiłowania. Abstrahując od formy, poetów interesują donioślejsze kwestie, na wypowiedzenie których sama liryka nie wystarcza.

Istnieją dwa krańcowe zapatrywania: Czernika w „Okolicy Poetów”—teoria t.zw. autentyzmu i najśliszniej przeciwstawiający się jej Józef Maśliński (w dodatku literackim do „Kuriera Wileńskiego”), który uważa, że autentyzm jest zubożaniem poezji.

Teoria Czernika następcza małe niebezpieczeństwo: mamy całe tomy poświęcone dzieciństwu. Ale wspomnienia przeszłości stanowią tylko wtedy jakąś wartość, jeżeli zajął się o teraźniejszość i wyrażają do niej swój stosunek.

Epika łączy się z przeżyciami potężnymi, szerokimi, przeżywanymi nie tylko indywidualnymi ale i zbiorowymi. Te rzeczy tworzą się bardzo powoli i sztucznie, teoretycznie niczego przyspieszyć się nie da.

— Dużą rolę odgrywają obecnie poeci Lublina. W jaki sposób ocenia pan znaczenie poezji lubelskiej?

— Poezja lubelska jest charakterystyczna, dlatego, że jedynie tematycznie wiąże się z Lublinem. Bo o ile Kraków, czy Wilno stanowiły bardzo zwartą grupę, każdy z nich miał coś wspólnego z innymi, to o Lublinie nie można tego powiedzieć. Tu każdy poeta stanowi szkołę sam dla siebie.

Ostatnio ukazały się zbiorki najmłodszych —Popowskiego, Iwaniuka i Podstawki. Najśląb-

sze wydają mi się „Pieśni uroczyste” Popowskiego—dużo wpływów i rozgadania. Jeżeli chodzi o jednolitość i czystość liryki, wyróżnić należałoby Iwaniuka — potencjalnie wybijają się „Stopy w niewoli” Podstawki.

Są to dopiero zapowiedzi. Ciekawe naogół ale młode, nie skryształizowane (odnosi się to najbardziej do Popowskiego).

— Czy można określić stany psychiczne twórcy?

— Dawniej dominowało natchnienie, dziś kwestionuje się to uczucie, jako bezkrytyczne. Autor pisze w podnieceniu i pewne rzeczy uchodzą uwagi, co uwydatnia się dopiero po napisaniu. W trakcie pisania następuje przypominanie sobie, rekonstruowanie stanów psychicznych,

Łatwiej przychodzą uczucia odległe. Nie da się napisać dobrego wiersza bezpośrednio po danym przeżyciu,

— Co sądzi pan o swoim najwybitniejszym tomiku, za jaki można uważać „Rozmowę z Ojczyzną”.

— Uważam ją za swoją pierwszą książkę. Inne—to błędy młodości, które były nauką i doświadczeniem.

„Rozmowa z Ojczyzną” jest jakgdyby roz-

rachunkiem poetyckim jednostki z narodem, społeczeństwem i ludzkością.

Należy to rozumieć tak, że wszelkie uczucia i przeżycia indywidualne, wyrażone w tych wierszach uległy konfrontacji ze światem uczuć zbiorowych, ponadjednostkowych.

Słowem, żeby użyć odpowiedniego cytatu, jest to „cierpkie pieniacstwo poety” z ojczyzną i zbiorowością.

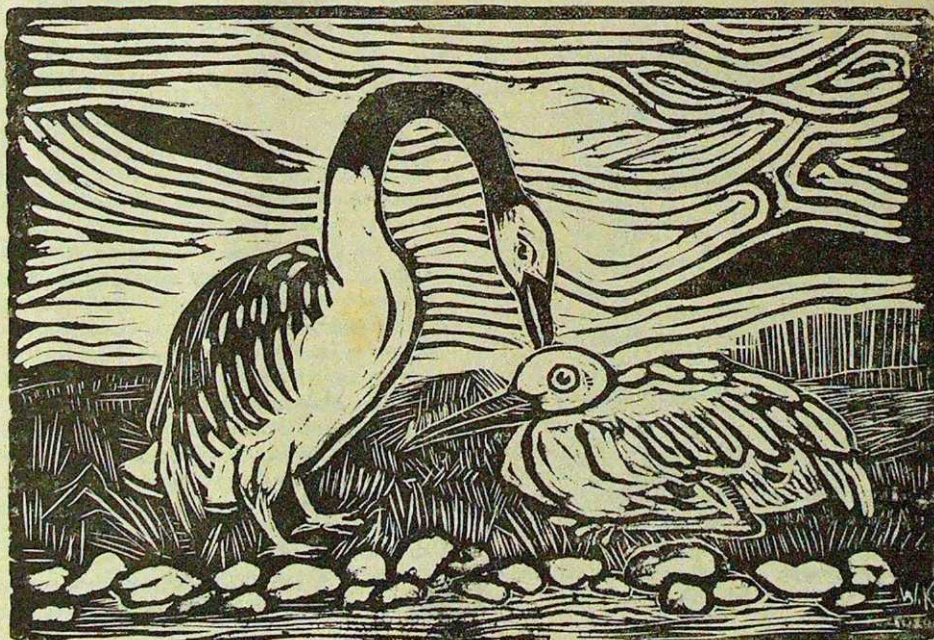
Ukazało się drugie wydanie rozszerzone i uzupełnione, nakładem Hoesicka. Jednocześnie wyszedł zbiór dłuższych poematów (p.t. „Demonom nocy”).

Oprócz tego nie rezygnuję z przekładów, gdyż jest to praca przyjemna jak i pożyteczna. Chcę dać obszerną „Antologię poezji rosyjskiej” która obejmowałaby kilkanaście tomów.

Wywiad przeciągnął się długo. Skończony. Na ulicach zapada charakterystyczna lubelska noc. „Zatrząskuje pyski gwarnych bram, jest dobra, wszystko ucisza”.

„Ręką wytrwała i groźna,
mieszająca glinę gwiazd w sinem kubie,
trójkacie nieustepliwy w niebieskiej
w gorzkiej pomroce mgły, [wysokości,
nad bładami łakami
żarzy się senny Lublin:
miasto krzyczącej młodości”.

Jerzy Pleśniarowicz.



Koło teatru pusto...

„Od pewnego czasu obserwuje się wśród młodzieży większe zainteresowanie teatrem. Zda się, że teraz dopiero zaczyna się krystalizować nowy widz entuzjasta”.

Tymi słowami zaczyna się felieton Kolegi Kubicia (494) zamieszczony w którymś numerze w „Słońce”. Oczy moje po przeczytaniu tych słów utknęły na kropce i ani rusz dalej. Cofnąłem je raz jeszcze, ba! — przeczytałem kilka razy, zawsze jednak to samo zdanie, i nie! — nie mogłem uwierzyć! Czyżby aż tak dobrze przedstawiały się sprawy związane z naszą kształcącą rozrywką, jaką jest teatr? Czyż zarzucona została dotychczasowa gnuśność i ospałość towarzysząca wszystkim wycynom na tym polu? — Czy też należy się dopatrywać w felietonie kolegi Kubicia, nieuzasadnionego optymizmu?

A tymczasem...

Kochana Kolezanko! lub Kolego — który, czytając nudny felieton z smutnym tytułem — czucie już z niecierpliwością jego końca — proszę Was! zamknijcie na chwilę oczy — do obrze? podajcie mi teraz rękę — o tak! — już? — No to w porządku! Teraz porywam Was na chwilę w zaświaty przeszłych już „Warszawianek”, „Zatopionych dzwonów”, „Dziadów”, „Kaloszy” i t. p. Jedziemy naprzód na próbę popularnej „Warszawianki”. Próba generalna. Widownia pełna uczniów, wszyscy wpatrują się w scenę. Na scenie uczeń — aktor wyrzucający z siebie bezmyślnie, wykutą rolę! Statysci, statystki i t. d. jednym słowem wszystko wydawałoby się w porządku. Lec niestety. Część widzów przypędziła na salę je sienna ulewa, która nie pozwoliła im na kontynuowanie spacerów en deux, drugą grupę tworzą ci szczęśliwcy, którzy „pourywali się” z zebranych Kółek Samokształceniowych, lub z nu dnie jak lukrecja Świątlicy.

Bohater w dalszym ciągu krzyczy — nastrój wzrasta! Popatrzmy teraz, jakie jest zainteresowanie sztuką? Słuchajmy oto tam zupełnie blisko sceny, zwraca się dwóch potężnych „sportowców” do małego Lejzorka, który z zaciekawieniem śledzi tok akcji. Oto ich słowa: „Ty! pęta! nie zapomnij przynieść jutro „bryka” do „katylinarki”, bo będzie „wyspa”, a to się skończy dla ciebie „bidniel!” Odejdźmy od nich, posłuchajmy o czym

rozprawia półgłosem młodzień, rubiaczy wrażenie skończonego donżuana. Posłuchajmy co mówi do swych Kolegów? Oto posłuchamy „dla” „usa”

On: Ty! i powiadam idzie koło „Vesusa” klawa Czarniecanka, mówię ci, palce lizać. Ja to niej z zapytaniem: czy można?

Ona: Nie znam pana.

On: Mogę się przedstawić!

Ona: Na ulicy znajomości nie zawieram.

On: (zachęcony tym) możemy wejść do bramy itd. itd. Nie słuchajmy już dalej.

Spójrzmy teraz na aktora: Nie zauważony i nie słyszany przez nikogo (pomimo tego że sala pełna) wykrzykuje właśnie dokumentarne słowa Wybickiego: „Do bron! bracia, do bron!”. I wszystko byłoby dobrze, gdyby właśnie w tej chwili nie odezwał się głos opiekuńczego kolegi przepisującego algebrę za kulisami: „Krzycz, Tadek krzycz! Ona już dziesięć minut czeka pod „Sasem”. Naturalnie efekt piorunujący! Bładolicy i bladowlasy kolega jednym tchem wypowiada swą rolę do końca i nie czekając na akt następnego z rozwiązanymi włosami i paltem, wybiega ze szkoły w kierunku, gdzie widnieje postać „Jej” czekającej już dziesięć minut.

Biedna Ona! — ale biedniejsza stokroć jest „Warszawianka”, którą potraktowano „byle zbyc” lub przysłowiowo na „odwał się”.

Pójdźmy teraz na próbę sławnej swego czasu sztuki Hauptmana „Dzwon zatopiony”. Nie wiem dokładnie, która to jest próba (w każdym razie blisko setnej). Próba została naznaczona na godz. 5-tą popołudniu. Popatrzmy na zegarek jest za 15 minut 6-ta. Pytamy się woźnego „Gdzie jest próba”. Z wyrazu twarzy można sądzić, że nie o niczem nie wie! Idziemy dalej — czekamy! Szósta godzina — próby nie ma. Naraz zjawia się bohater — Henryk otacza go rój tłuszcików (ciężkawie właśnie dlaczego) nimf i wodnic. Wszystkie zaczynają głośno piszczeć, przez co chcą wyrazić, że są bardzo zadowolone z kawalu Henryka. Drzwi się otwierają, i wchodzi pan i pani z różnych szkół. Mają oni prowadzić próbę. Tymczasem zajmują się „wszystkiem innym”, a tylko nie przedstawieniem. Pada pytanie „kogo brakuje”? odpowiedź: Rusalki. W tej chwili wpada olbrzymia postać Rusalczyzna, która z piśkiem poczyną witać Koleżanki, udając (zresztą b. dobrze) przy-

tym, że nie widzi Kolegów, że się spó-
żniła (7⁵ II)

Wreszcie zaczyna się próbali

O dalszym ciągu tej próby, trwającej już 2
godziny z rzędu lepiej nie mówić.

I jak wypada później przedstawienie?

Oto uczennica grająca rolę biednej wie-
śniaczki ma na sobie jedwabną sukienkę, włosy
ufryzowane; na ręce zegarek i pierścionki (całej
rodziny!), którymi specjalnie porusza w blasku ju-
piterów, by wydawały ładny połysk. A bohater
gra z takim patosem, że w chwili kiedy zdrów
na ciele i duszy, zwraca się do żony z prośbą:
„Żono daj mi wody” zhisteryzowana część mło-
dzieży żeńskiej płacze!

Niestety nie doceniamy teatru, robimy z
niego najczęściej tylko zabawę! Wszak teatr jest
sztuką syntetyczną, skupiającą w sobie wszystkie
inne sztuki jednocześnie (poezję, muzykę, malar-
stwo, rzeźbę, a nawet architekturę). Nie chodzi
o to, by dana koleżanka lub kolega pisał wiers-
ze lub komponował utwory muzyczne, ale o to,
by wyczuwał poezję, muzykę czy inne sztuki. Bo
jednak można zaryzykować twierdzenie, że każ-
dy człowiek, chcąc z należytych pożytkiem czy-
tać poezję, słuchać muzyki, musi w danym mo-
mencie sam poczuć się poetą, czy muzykiem.
Musi zrozumieć potrzebę pisania wierszy, czy
komponowania utworów muzycznych! To samo
jest z teatrem; trzeba zrozumieć jego cele i za-
dania, jego rolę w naszym życiu!

Nie każdy musi i może zostać aktorem, ale
każdy powinien zrozumieć teatr, jego rolę spo-
łeczną. Każdy może i powinien rozumieć sztuki
w nim wystawiane, sens i charakter.

Repertuar teatrów szkolnych, to najczęściej
jedna dramatyczna starzyzna zohydzona na lek-
cjach polskiego. Czyż mało jest sztuk, poza ko-
mediami Fredry czy Moliere. Napewno jest całe
mnóstwo, trzeba tylko chcieć i umieć wyszuki-
wać, trzeba temu poświęcić trochę dnia, czy na-
wet wieczoru, trzeba się trochę pouczyć, ale na
to nie ma czasu, zresztą po co to i komu. Prze-
cie nikt się nawet nie zastanawia, czy teatr nie
uczy porządnej wymowy języka ojczystego, czy-
stej dykcji i porządnym gestów, których niejed-
nemu koledze, mającemu pretensje do donżuana,
brak na każdym kroku!

Niezrozumienie teatru pociąga za sobą tak
fatalne zachowanie się młodzieży na wszelkiego

rodzaju widowiskach. To były sporadyczne wy-
padki. Powie każdy. Ładna historia! A więc po-
co szczyrimy się tak wysoką kulturę, skoro sie-
dzimy wówczas spokojnie, kiedy widownia jest
zapelniona profesorami.

Tak jest u nas! Spójrzmy, jak jest za gra-
nicą Państwa Polskiego. Oto młodzież niemiecka
z tekstem sztuki w ręku, śledzi uważnie tok akcji
rozgrywającej się przed jej oczyma. My nie tylko
nie umiemy patrzeć na sztukę, nie umiemy jej
wystawiać. I jak już zaznaczyłem, albo wystawia-
my utwory znane, lub tak trudne, że rady dać
sobie nie możemy. Nie umiemy przeprowadzić
scen zbiorowych, tego wszystkiego trzeba się
nauczyć.

Polemika i dyskusja musi narodzić się na
nowo!

Musimy przyznać, że teatr jest na tyle waż-
ną instytucją by warto jej trochę naszego życia
poświęcić!

Apeluję do wszystkich! nie pozwólmy, by
koło teatru i w teatrze było pusto!

Karol Podgórski.



Szkoła a światopogląd młodzieży

— Współczesna szkoła nie ogranicza się jedynie do nauczania; szkoła ma przede wszystkim wychowywać. Nawet więcej, bo wychowując nauczając. Szkoła zatem przyjmuje na siebie obowiązek całkowitego wykształcenia osobowości młodzieży. Niwelują się coraz bardziej wpływy rodziców, którzy niegdyś stanowili zasadniczy czynnik wychowawczy i właściwie współczesna młodzież swój duchowy rodowód powinna wyprowadzać od szkoły. Ten fakt stanie się bardziej zbliżony do prawdy, jeżeli weźniemy pod uwagę, że duża część młodzieży stoi wyżej kulturalnie od swego środowiska, a więc i od rodziców. Rodzice stanowią więc minimalny czynnik w urabianiu światopoglądu młodzieży. Szkoła pozostawia sobie w tym względzie władzę nieograniczoną, często zaprzeczając samorzutnemu odruchowi jednostki. Oczywiście te ograniczenia mają na celu dobro jednostki lub państwa nie mniej świadczą o poczuciu nieomylności szkoły w sprawach wychowawczych. Interesujące nas tu zagadnienie światopoglądu jest zasadnicze w sferze postulatów wychowawczych. Urabianie go następuje często na drodze sugestii. Szczególnie obecnie wydoskonalone metody wychowawcze mają całkowicie osaczyć ucznia i poddać go pod pewien ustalony kierunek. A jednak rzeczywistość coraz bardziej temu zaprzecza. Zachodzi raczej stosunek odwrotnie proporcjonalny.

— A więc wszystko w porządku. Sprawy idą normalnym trybem. Każdemu działaniu przeciwstawia się przeciwdziałanie — tak wynika z prawa Newtona. Oto prawdopodobnie sprawdził się też w tej dziedzinie.

— Właśnie chodzi o to stosowanie praw mechaniki do życia psychicznego. Mam wrażenie, że właśnie na tym opiera się niepowodzenie szkoły w sprawach wychowawczych. Szkoła istotnie jest dla mnie pewnego rodzaju skomplikowanym aparatem, który przez całe systemy kamer i krętych korytarzy ma wypuścić jednostkę o ustalonej fizjonomii. Ale okazuje się, że mechanizm szkoły jest bezsilny wobec

naturalnego rozrostu psychiki młodzieży. W pierwszym rzędzie zanik życia psychicznego lub jego wegetacja u młodzieży stawia szkołę w pozycji bezsilnej.

— Mam wrażenie, że zanik życia psychicznego jest to pewien rodzaj śmierci, której nie można zaprzeczyć. Zresztą szkoła ma raczej normować to życie psychiczne, nadawać mu pewien konkretny kształt, a nie ustalać jego natężenie.

— Sądzę wręcz przeciwnie. Właśnie do zagadnień wychowawczych będzie należała regulacja życia psychicznego, szczególnie niedopuszczanie do stanu wegetacji. Chodziło by o zaskoczenie jednostki i ustawienie jej w takiej pozycji, z której powrót do normalnej postawy byłby momentem rozbudzenia się sił psychicznych. Na tym polega między innymi wpływ książek wybitnych pisarzy.

— Szkoła nie ma ku temu odpowiedniej egzekutywy.

— Chciałem właśnie stwierdzić, że obecny aparat wychowawczy jest bardzo sztywny, to też nie potrafi on ogarnąć ani zbytnej wybujałości ani też nie rozbudza wegetacji. Całkowicie w aparacie szkolnym mieści się jedynie przeciętność i na niej dokonywane są pewne złożenia i wygładzenia określane jako wychowywanie. Nie jest to jednak jeszcze zasadniczy sens wychowywania. Szczególnie zagadnienie to przybiera na znaczeniu, gdy jakiś młody organizm nie mieszczący się w aparaturze szkolnej dozna uszkodzeń, zniekształceń lub w ogóle zostanie rozbity.

— Nie rozszerzajmy jednakowoż zagadnienia. Światopogląd jest zagadnieniem bardziej konkretnym i uchwytym niż całokształt zagadnień życia psychicznego młodzieży. Będzie nam chodziło o pewien sposób myślenia, o stosunek jednostki do szeregu zjawisk natury fizycznej czy duchowej, należałoby zbadać samodzielność myślenia, krytycyzm, wnikliwość w istotę rzeczy, szybkość reakcji na pewne zjawiska. Oto są czynniki natury światopoglądowej.

— Istotnie, tylko wydaje mi się, że nie podobna rozpatrywać światopoglądu bez tej dynamicznej strony wzrastania osobowości. Najczęściej nasze właściwości psychiczne, nasze możliwości i t. d., warunkują światopogląd. Poprostu światopogląd będzie dążnością do rozumowego usprawiedliwienia naszego postępowania. Zawsze wprawdzie następuje rozwój wewnętrzny, a dopiero w celu uzgodnienia naszych sił publicznych z rozumem, z tym organem wykonawczym, tworzymy światopogląd.

I tu właśnie szkoła, która dla mnie określa jedynie pewien stan statyczny, absolutnie nie pobudza naszych czynników wzruszeniowych, nie wpływa na rozszerzanie się wewnętrznego świata odczuwań. Ona raczej ten świat sprowadza do stanu krystalizacji.

Zgodzę się z tobą, że szkoła proces wzrastania może normować, nadawać mu pewien pozytywny kierunek, ale cały rozmach nadają mu czynniki pozaszkolne: środowisko, samo życie. Gdyby szkoła potrafiła zawładnąć tą sferą czynników, które powodują rozrost, można by mówić i o kształtowaniu przez nią światopoglądu młodzieży. Szkoła istnieje jednak poza samym procesem życia; Mimo prób aktualizacji i worywania się w żywe zjawisko, w sam nurt życia, szkoła może przyjąć jedynie to, co posiada statyczną skryształizowaną formę. W tej powściągliwości upodabnia się ona do kościoła katolickiego. Jak kościół zachowuje się wobec wszelkich nowych zjawisk obojętnie lub wrogo i dopiero gdy to zjawisko przybierze kształt niezbyt prawdy włącza go do swych kanonów, tak normą szkoły są programy, okólniki, zarządzenia, wszystko co posiada stempel... Odnosi się to nie tylko do samych zjawisk życiowych, ale najjaskrawiej widać te sprawy w dziedzinie naukowej. Naukowanie fizyki klasycznej i przyrody w konfrontacji z szeregiem współczesnych teorii, zagadnień, badań wykazuje daleki odstęp od współczesnej rzeczywistości.

— Ależ trudno chodzić po krętych ścieżkach poszukiwań i eksperymentów, narażać się na błędy i odwoływanie stawianych tez, gdy poza nami leży cała sfera spraw i zagadnień pewnych, określonych, a koniecznych jako podstawa.

— Całkowicie zgadzam się z tobą, ale to nie zmieni faktu, że ten statyczny stan szkoły młodzieży nie zadowalnia.

Młodzież ciąży podświadomie w kierunku nowych form. Chciałoby się przeskoczyć tę statyczną przestrzeń, aby prędzej znaleźć się w samej warstwie rozrodecznej, brać udział w procesie wykształcania nowych wartości.

W tym ujęciu wyjaśnia się gest młodzieży, która po wyjściu z gimnazjum stwierdza, że musi uczyć się od nowo

— Bo my w ogóle mało się uczymy...

— Twoje stwierdzenie nie musi być zarzutem. W młodości należy przede wszystkim żyć, doznawać, rozrastać się... Zapewne, kto zbyt wcześnie został zduszony górami zasad i nakazów, przedwcześnie pozwolił się przeżreć przez skrupuły, nigdy już żył nie będzie.

— Zaczynasz strzelać racami okrzyków, a to już roznamiętnia, to już jest specyficzna „młodzieżowość”. — Od tego anarchizmu młodości nie daleko do apoteozy lenizmu, bezmyślności i wszystkich tych cech bezwzględnie ujemnych. To są sprawy niezwykle skomplikowane i nagromadzenie ich komplikuje określenie światopoglądu współczesnej młodzieży. A o światopogląd nam przecież chodzi...

— Istotnie takie określenie jest trudne; powiedziałbym niemożliwe, istnieje ogromna skala zróżnicowania między młodzieżą; odległość między kraciami światopoglądów nie do przebycia. Nawet w jednostkowych światopoglądach tyle najrozmaitszych elementów, czasami ze sobą sprzecznych, że żaden termin, żadne określenie nie obejmuje całej zawartości. Należałoby dopiero analizować poszczególne elementy, ustalać ich pochodzenie i wtedy mielibyśmy ciekawy konglomerat.

— Czy czasami to zindywidualizowanie nie jest lenizmem w budowaniu światopoglądu?

— Raczej niemożliwością objęcia i zrozumienia nie dysproporcji współczesnego życia. Stąd ta chaotyczność poglądów dowolność interpretacji zjawisk. Zresztą nie pragnę tu bynajmniej wartościowania istniejącego stanu rzeczy, bo znów wypłynąłby mój subiektywizm. Są rozmaite „za” i „przeciw” i dlatego można przechylać szalę na tę i na tamtą stronę — Wiem tylko, że obecnie nie doceniany jest sam fakt bez względu na jego bezwzględną wartość. Często starsza generacja zdobywa się niepotrzebnie na słowa rozgo-

ryczenia, zamiast wysiłku zrozumienia i ewentualnej pomocy.

Trzeba się liczyć, że nic nie zmieniającego nastąpić przesunięcia—starzy ustąpić muszą, przyjdą młodzi. A przyjdą tacy jacy są. Nikt i nic ich nie zastąpi. I to jest rozstrzygający moment w walce (o ile taka istnieje) młodych ze starymi.

Ślusznie. Dlatego też jestem spokojny o los

naszej improwizowanej rozmowy. Faktem jest, że ja i ty odczuwamy tak a nie inaczej. Ktoś inny może te sprawy widzieć zupełnie inaczej, ale mój punkt widzenia mimo tego zostanie kiedyś uwidoczniiony. Będziemy się musieli liczyć jedynie z krytyką młodzieży. Wszelkie inne uśmiechy, które zawisną nad tym artykułem, nie będą miarodajne.

W. Gajewski
S. Skoczylas.

Z tragicznego ładu.*)

(NIEFANTAZJA).

Za oknem czarne sita chmur sięgają drobniutki pył. To deszcz. Pada już trzeci dzień. Chaty stoją przygarbione, omokłe, zapadłe. Okna polyskują nikłym światelkiem.

Za oknem deszcz. Na drodze błoto. Świecą w naftowym blasku okien brudne kałuże. Ktoś człapie drogą, z trudem wyciągając z błota przemokłe buty.

Zapada zmierzch. Nawet marzenia gdzieś odbiegły. Jakby ten deszcz padał na serce, wciskał się do mózgu. Błoto, wszędzie błoto. Woda i błoto. Wiem, że i w chlewach jest woda. Przez dziurawe poszycie woda wciska się nawet do chaty.

Z pola wracają osowiałe, przygarbione kobiety. Od kartofli. Przez cały dzień, kłęcząc w błocie, pod drobniutkami, ostrymi igielkami jesiennej pluchy, wygrzebuja oblepione błotem kule. Za tę pracę otrzymują suł zapłatę. A jakże... Złoty, złoty dwadzieścia najwyżej. Złoty dwadzieścia za dziesięć godzin pracy. Takiej pracy! To nieprawda, że miejsce kobiety jest w domu, przy dzieciach. Już jako dziecko była w polu za krowami. Kiedy ma piętnaście lat, jej miejsce jest w polu i chlewie. Na wsi kobieta ciężiej pracuje niż mężczyzna. Od świtu do ciemnej nocy jest

zababrana, zapracowana. I tak przez cały rok przez całe życie.

Tak, to już jesień. Stodoły pełne zbiorów. Warczą młockarnie, terkocą wialnie. Pszenica jak złoto przesypuje się przez palce. Dlaczegoś smutny? Dzisiaj? W jesieni? Wszak to twój „pierwszy”. Jedyny w całym roku. Że przychodził do ciebie wczoraj sekwestrator, że jeszcze będziesz miał kilka nakazów płatniczych? To i cóż z tego? Wystarczy!—zasiejesz oziminę, zapłacisz podatki, opłacisz szkołę, odziejesz się, obujesz—jeszcze ci zostanie!

Właśnie, że nie wystarczy...

Deszcz przestał padać. Czy na długo?

Na zachodzie zamigotała mała gwiazdka. Gdzieś na drodze zaskowyczał pies.

Tak... tak... oświaty kaganiec... szklane domy... sny i marzenia...

Deszcz znowu zaczął padać...

Zazula Mikołaj,

Gimn. im. J. I. Kraszewskiego
Biała-Podl.

* W odpowiedzi na fantazję słonecznej przyszłości wsi, napisaną przez kol. Kokosińskiego.

Pasażerka na gapę.

Nic do tej pory właściwie o maturze nie wiedziałem, przechodziłem obok tych spraw obojętnie. Raz tylko przypadkowo czytałem w gazecie, że taka i taka ilość młodych ludzi otrzymała papiery zwane świadectwami dojrzałości, raz znów, że ktoś, kiedyś i gdzieś zastrzelił się z tego powodu.

Kiedyś widziałem gromadę młodych ludzi o wystraszonem wzroku, tkwiących w osłupieniu przed progiem aktowej sali. Wyjaśniono mi że to są właśnie maturzyści na kilka minut przed egzekucją. Bardzo mi się wtedy ich miny nie podobały. Patrzyłem na nich pogardliwie i pogarda wlokła się aż do tej pory. Prawdopodobnie moje wiadomości o maturze pozostałyby na tym samym poziomie, gdyby nie fakt, że siostrzyczka Zosia miała ją w tym roku przeskoczyć.

* * *

Zocha grzebie w szufladach za starymi zeszytami i książkami. Właśnie wczoraj zerwała się od stołu i w nagłym ośnieniu zakomunikowała nam, że przecież aby zdawać maturę trzeba coś umieć. Trzeba więc przejrzyć zeszyty a wszystkie będą w porządku Zocha wie z pewnością, że w szkole kazano zapisywać w zeszytach rozmaite wiadomości, wprawdzie mało ciekawe (nie interesowały one ją dotąd), no ale konieczne.

Zocha grzebie w szufladach a ja jej pomagam. Wyciągamy stare zeszyty, książki, drobne przedmioty. Na zeszytach widnieją liczne imiona i nęskie tuż obok serc przebitych strzałą. Co druga kartka odsłania zasuszonego kwiatka. Zosia zasiada przy swoich pamiątkach i godzinami tonie w zecze tęczyowych wspomnień. Łacińskie deklinacje, barwne ornamenty liczb stoją skromnie na bok i przytękają w łzawym uśmiechu: „Tak, tak, tak to dawniej bywało...”

Wśród poszukiwań wpadła nam w ręce czerwona myszka (skutli kąpieli w czerwonym atramencie). Zocha radziła ją czemprędzej utłuc, żeby nie było nieszczęścia (że niby myszka czerwona), ale myszka z dziczała i muszę kupić pułapkę.

Potem znaleźliśmy z tarą tatuowaną tuszem książkę, w której przeczytałem na ostatnich stronach podkreśloną ołówkiem notatkę.

„...W roku 1930 w Sowietach milion ludzi odbyło podróż na gapę...”

Notatka zadziwiła mnie bardzo i wydała się blagą. Gdzieżby tyle ludzi popełniło nadużycie i to w ciągu jednego roku. Et blaga!

Książka szeleszcząc kartkami zakreśliła łuk i wylądowała w kuchennym koszu!

* * *

Zdaje się, że jest już wiosna, ale tak, z pewnością. Czuć jak ją przesysca melodia westchnień, natchnień i wytchnień.

Na horyzoncie garbią się dziwnie wzgórza i łuk nieba napina się mocno tuż nad nami. Ulicami chodzą ludzie w szeroko rozpiętych paltach i uśmiechają się bez przyczyny. Przez jasne kapelusze świecą fale kobiecych włosów.

Wiosna.

Po miejskim parku i podmiejskich dróżkach krąży policjant i wylawia nieostrożnych wagarowiczów. Frekwencja w szkole wciąż spada.

Do Zochy przychodzą gromadami koleżanki. Pachną dalekim spacerem do „Starego lasu”, świecą świeżością nowych sukienek, uśmiechają się kącikami ust i mają tyle serdecznej wyrozumiałości dla mnie. Podziwiam je.

W tym roku otrzymają „świadectwo dojrzałości”, dojrzeją i przestaną przychodzić do Zochy. Właściwie to one już są dojrzałe. Mają pięknie lakierowane paznokcie, odpowiednio wysokie obcasy pantofelków, jakiś mocno czerwony kolor ust i te pełne godności dziewczęce gesty i ruchy. Te ruchy to artyzm, to owoc długich studiów artystycznych nad gwiazdami filmowymi w długie kinowe wieczory. A potem karnawał — okres realizacji samotnych przemysłań i teoretycznych studiów...

Szczególnie podoba mi się panna Stasia... Taka powiewna, z wiecznym uśmiechem, z którym jej tęk do twarzy. W kątach ust tworzą się małe zagłębienia i lekkie wzniesienie biegnące przez całą długość policzka nie ustępuje nigdy mimo zmian atmosferycznych. Panna Stasia śmieje się i smuci tą samą falistą linią wzniesienia. Wujcio Stefan mówił mi coś o maskach, ale nic z tego nie rozumiałem. Panna Stasia podoba mi się i basta.

Ona na przykład niczego się nie boi, nic ją nie martwi.

— „O ja już dawno napisałam to nasze zadanie na temat: „Moje najsilniejsze przeżycie” — mówiła niedawno do zatroskanej Zochy i koleżanek.

— „Już? Tak szybko?” — dziwiły się

— „Jeszcze dwa dni temu przyniósł mi je Wacek” —

— „A skąd znów Wacek mógł wiedzieć o twoim najsilniejszym przeżyciu?”

— „Może i wiedział. Właśnie to on nie pisał, tylko jakiś jego kolega, który umie pisać. Ale zadanie z pewnością dobre. Z wszystkich poprzednich miałam przecież czwórki” —

— „A a a...” — zrozumiały wreszcie koleżanki.

— „A wiecie, w męskich szkołach mieli już próbą maturę. Powiadają, że to nic straszego” —

— „E dla męskich szkół”...

— „A dla nas to niby co? Wacek powiedział, że mi z pewnością tematy maturalne dostarczy. Prosił, żebym się nie nie obawiała”.

— „Przecież Wacek, też nie nie będzie wiedział?”

— „Jakto nie będzie? Już tyle lat są te matury, że przewidzieć temat nie jest znów tak trudno. One się powtarzają co pewien czas. Byle poznać szablony maturalnych tematów, to i nie trzeba ich wykradać... W szkołach męskich układają już listę możliwych tematów... Rok rocznie tak bywa.

— „Gorzej będzie z przedmiotami ścisłymi”

— „O tu już musi Wacek dostarczyć nam na salę gotowe zadanie. Skończy wcześniej swoje, przyjdzie i nam pomoże... Inaczej nie ruszymy”...

— „Ach cały rok nie robiłyśmy nic innego, więc poco teraz się martwić. Wogóle poco mówimy na ten temat, przecież to są rzeczy tak naturalne, same przez się zrozumiałe. Grunt, że w krótkie „dopuszczenie” i będziemy mogły bez obawy przed policjantem iść na miasto, używać słońca i powietrza”...

— „No tak! Na egzaminach trzeba przyswoić wyglądać. Będzie delegat z kuratorium, może jeszcze ktoś z obcych, więc to się zawsze przyda”...

* * *

W domu dzieje się wszystko jakoś inaczej. Spać idziemy bardzo późno. Zocha w ogóle mało śpi. Siedzi długo i kopiuje polskie tematy lub sporządza inne pomoce maturalne. Ota-

czają ją „Przyjaciele maturzysty” w ostatnich wydaniach, a jest ich tak dużo, że Zocha obawia się czy ze sobą wszystko weźmie... Zocha sporządziła coś w rodzaju pasa ratunkowego, którym będzie opasana podczas egzaminu. W pasie tkwią cieniutkie rolki papieru z tematami. Od nich prowadzi nitka, zakończona kartką z numerkiem. Zosia ma w rękę karteczkę, na której spisane są tematy i oznaczone kolejno liczbami. Na maturze odszukać tylko numer i zadanie gotowe.

Zocha chwaliła się niedawno do wujka, że matury wcale się nie boi. Zresztą nie ma czego. Cała klasa idzie przed maturą do spowiedzi, a niektóre matki dały na mszę na tę intencję. Chciała się jeszcze pochwalić, że sama pości co poniedziałek i chodzi codziennie do kościoła, ale wujek kichnął i powiedział jedno słowo: „komedia”.

Od tej chwili nic nie słyszałam, a właściwie słyszałam dużo, lecz niestety nic nie mogłam zrozumieć. Zocha podniosła taki krzyk, że Stefan delikatnie zasłonił uszy, z balkonu zerwały się wróble, a na schodach zainstalowały aparaty podsłuchowe wszystkie służące z drugiego piętra. Nie wiem jak długo trwałaby ta audycja, gdyby Zocha nie miała się spotkać z Ferdkiem (wysokim blondynem). Na pożegnanie rzuciła w wuja Stefana zabójczym spojrzeniem, podkreśliła je trzaskiem drzwi i wyszła. Wuj podszedł do stołu i zaczął bawić się stosem białych harmonijek. Sądząc (widocznie po mojej minie), że musi się wytłumaczyć wygłosił taką mowę:

— „Ty już nie bedziesz zdawał matury i chwała Bogu. Widzisz, matura to taki ślepy kontroler, który sprawdza bilety do teatru życia. A mało kto nabył bilet legalnie. Zamiast zapłacić szeleszczącym banknotem wiedzy, wtykają im fałszywy papier lub passe-partout protekcji. Dopiero tam wewnątrz gmachu następuje świadoma kontrola. Przeprowadza ją życie. O wtedy wielu wyłutuje za drzwi. Skończył, a mnie się zdawało, że on wciąż gada, a to radio grało.

Chciałem zapytać wujka, jak on postąpił z tym kontrolerem, ale przypomniałem sobie, że zdawał maturę dwa razy. Wtedy poszedłem do kuchni i wyciągnąłem książkę z kosza, aby jeszcze raz przeczytać niewiarygodną notatkę.

Tym razem uwierzyłem.

Igor Sikierycki.

O kryteria wychowawcze Związku Harcerstwa Polskiego.

(artykuł dyskusyjny).

X: Obserwując od dłuższego czasu działalność wszelkich, większych czy mniejszych zrzeszeń dzisiejszego Związku Harcerstwa Polskiego spostrzegam nieuchronny ich pochód ku zjawisku niezbyt zadawalającemu, które określiłem brakiem zainteresowania ze strony młodzieży nie-harcerskiej.

Y: Przyczyny tego szukać, moim zdaniem, należy nie tak daleko, jak się na pozór wydaje. Prostu jednostkom stojącym na wyższym poziomie intelektualnym, o większym poczuciu indywidualności, harcerstwo stwarza zbyt ciasne ramy ich możliwościom rozwoju.

X: Dlaczego?

Y: O, to już nie jest tak łatwym do rozstrzygnięcia. Musiałem się długo zastanawiać, zanim doszedłem do źródeł przyczyny bytu twojego słu znego twierdzenia. Leży ona w nieodpowiednim doborze jednostek stanowisk kierowniczych. Harcerstwo znajduje się w tej trudnej sytuacji, że oprócz należytego oceniania wartości wszelkiego rodzaju (organizacyjnych, technicznych, pedagogicznych ideowych, i t.p.) poszczególnych indywidualności, musi je (wartości) odpowiednio uwzględnić w postaci koloru sznura, lilijki, czy ilości kółek na prawym rękawie. Jest to rzecz wymagająca wielkiej trafności sądów w ocenianiu ludzi, granicząca niemal z psychologią. Z nieznajomości usposobień i upodobań jednostek wynika dalszy jeszcze szereg niedomagań harcerstwa, a między innymi bardzo paląca kwestia, nasuwająca mi się na myśl, a którą nazwę kryterium oceny działalności każdej organizacji: sprawa umiejętności skierowania działalności jednostek na odpowiedni im teren pracy.

X: Trudności przez ciebie wysunięte nie odrzuciły samej młodzieży od harcerstwa, gdyby były odpowiednio pokonywane, a raczej likwidowane. Mówisz o nieznajomości psychiki jednostek. Wyobraź sobie, że ewentualność istnienia tego rodzaju nieporozumienia nie zaistniałoby, w razie gdyby czynniki miarodajne były do tego skłonne czyli w tym wypadku mogłyby ją (psychikę) poznać i na odpowiednie pole działalności skierować.

Y: Ależ potwierdzasz tylko moje stanowisko, stosując twierdzenie przeciwne mojemu. Widzę, że mnie źle rozumiałeś i dajesz broń przeciwko sobie.

X: Mylisz się. Twoje poprzednie powiedzenia w konkluzji stwarzają wniosek: potrzeba odpowiednich indywidualności. Ja zaś stwierdzam fakt, nie ma ich. W tym tkwi nieporozumienie.

Y: Właśnie, właśnie. Nie ma, jak się słuszenie wyraziłeś na początku z „braku zainteresowania ze strony młodzieży nie-harcerskiej”. Masz niezbity dowód słuszności nas obu: z różnych punktów wyjścia dochodzimy do porozumienia.

X: Rozpatrzyliśmy dotąd kwestię braku zainteresowania młodzieży nie-harcerskiej. Widzę w tym duży minus młodzieży harcerskiej. Nie chcę być źle rozumianym, ale od dawna zauważam zjawisko niezbyt dobrze świadczące o zainteresowaniach młodzieży harcerskiej: snobizm intelektualny i megalomania. To ostatnie może nie w dużym stopniu, ale co do snobizmu to stoi on na porządku dziennym. Ze wszech stron harcerskich słyszy się ciągle frazesy z domieszką komunalów, trywializm do znudzenia. Tym tłumaczy się dosyć niski poziom czasopism harcerskich. Tak zwane zbiórki są tylko wypełnieniem szablonu, pozbawione pomysłów nowych nie przedstawiają wielkiej wartości dla jej uczestników. Moim zdaniem harcerstwo cierpi obecnie na brak kierowników z odpowiednimi zajmowanymi stanowiskami kwalifikacjami. Wchodzę w położenie niektórych jednostek: uczęszczanie na zbiórki jest dla nich rzeczą częstokroć straty czasu. Nie ma tam spraw specjalnie ich dotyczących interesujących, przyciągających. Są tylko udane powiedzenia w rodzaju „wieczór świetlicowy”, „propaganda harcerstwa”, „trzydni wyścig pracy”, „uharczerzenie społeczeństwa”. brak specyficznego zabarwienia, nastroju. Ostatnio poruszona sprawa referatów nie daje należytego rozwiązania. Same tematy są w stanie odstraszyć najgorliwszego słuchacza.

Y: Wina leży po stronie sfer kierowniczych

Odpowiednie ich nastawienie ku tej sprawie dałoby rezultaty pocieszające.

X: Bieg wypadków usuwa wszelką ich interwencję na tym polu, tym bardziej że są bezsilni. Jedynym wyjściem z trudnej sytuacji jest troska o ducha harcerskiego, a tej nie widać. Jedynym lekarstwem służącym naprawie złych stosunków jest napływ elementu starszego. Dlaczego drużyna nie liczy zbyt wielu członków z ósmych, siódmych klas, a statystyki wykazują, że klasy pierwsze, drugie i rzadziej trzecie zasilają najwięcej swoimi członkami szeregi harcerskie?

Y: Przyczyna jest bardzo jasna: rozpanoszony snobizm wypycha za drzwi jednostki o większej umiejętności myślenia (z wyjątkami). Jest sprawą wielkiej wagi, by czynniki wychowawcze Związku Harcerstwa Polskiego powoływały na stanowiska kierownicze tylko jednostki naprawdę odpowiednie, świadome swego zadania.

Z: Wasze odpowiedzi w większości wnio-

sków słuszne przedstawiają dla mnie ciekawy materiał myślowy; nie mogę jednak uważać ich za głos opinii ogółu, z tego powodu, że przedstawiają rzecz zbyt jednostronnie, z dużym zabarwieniem pesymizmu i są wyrazem sposobu myślenia tej nielicznej grupy, której jesteście reprezentantami. Celem zapoznania sądów w tej sprawie elementów różnorodnych starajcie się ich wypowiedzi zasięgnąć w liczbie możliwie największej, w ten sposób weryfikując swą własną w tej kwestii opinię.

X: Y: A więc czekamy na liczne, szczerze wypowiedzi i słuchamy... *Zygmunt Mikulski.*

Od Redakcji: Według nas autor nie ujął całości objawów i przyczyn niedomagania harcerstwa starszego. W dużej mierze należy uwzględnić czynniki natury światopoglądowej. Z. H. P. zrzeszający największą ilość młodzieży polskiej, jest jednym z najważniejszych zagadnień życia współczesnej młodzieży. Mamy więc wrażenie, że w dyskusji zabiorą głos również i nie harcerze. Szczegółnie apelujemy do tych, którzy z takich czy innych przyczyn wystąpili Z. H. P., a więc znają dokładnie ideologię i metody harcerskie.

Wieczór inscenizacji i recytacji zespołowych lubelskich szkół średnich.

Pięć razy w wypełnionej sali teatralnej gimn. im. Unii Lub. odbył się wieczór inscenizacji i recytacji zespołowych lubelskich szkół średnich.

Impreza ta zarówno w pomyśle, jak i w opracowaniu daleko odbiegła od szablonu szkolno-dobroczyńnych wieczorków, poranków, akademii okolicznościowych i t. p., kiedy „artyków” oklaskiwała bliższa i dalsza rodzina, „koniecznie” grywało się Szopena i deklamowało wiersze poematy.

Ciekawy, dość umiejętnie zmontowany program, staranne (może za mało syntetyczne) dekoracje, pomysłowe kostiumy, oryginalne opracowania rytmiczne w połączeniu z entuzjazmem młodych wykonawców pozostawiły (poza drobnymi uchybieniami) miłe wrażenie na licznie zebranej publiczności.

Warto zwrócić uwagę nie tylko na artystyczną stronę widowiska, lecz i na zagadnienia, związane z poszczególnymi „numerami” (apoteoza pracy zespołowej, maszyna — ruch — urbanizm, twórcza rola uczucia i in.).

Ciężar gatunkowy tych zagadnień pozostawił coś więcej, niż wspomnienie o przyjemnym spędzeniu czasu — kazał myśleć i dyskutować.

Teatr młodych nie powinien poprzestawać na dostarczeniu publiczności problematycznej wartości emocji, chodzi także o część intelektualną, opartą na podstawie naszych zainteresowań. Mimo nierówniej pod względem literackim wartości tekstów „Wieczór inscenizacji i recytacji zespołowych” zadanie powyższe spełnił w zupełności. Dowodem były oklaski.

Publiczność starała się o obiektywizm, rezygnując nareszcie z bezsensownych form ujawniania patriotyzmów lokalnych.

W pierwszej części programu kl. II i III gimn. kupieckiego i krawieckiego inscenizowały fragment powieściowy z „Panienki z okienka” Deotymy.

Przy sześciu przesłuchaniach wykonanych, stylowych ubiorów mniej wprawnie mówiono i tańczono. Trafnie została uchwycona groteskowość głównych postaci. Kl. I gimn. im. Unii Lubelskiej wyróżniła się reżyserią scen zbiorowych, z doskonałym poczuciem rytmu i plastyki, wykonując bajkę J. Lemańskiego p. t. „Mrówki i trutnie”.

Gimn. W Kunickiego („Dziwożono” — B. Leśmiana) i gimn. H. Sobolewskiej (Ballada o

darowanym sercu" — L. Staffa) popisały się choreografią: lekkość, wdzięk i swoboda.

W drugiej części montaż „Praca i zwycięstwo” — (gimn. H. Czarneckiej) posiadał najlepsze opracowanie literackie i inteligentne objaśnienia; gimn. im St. Staszica zaimponowało tylko... dekoracją. Walory dźwiękowe wiersza M. Rusinka „Bunt szyn” można było lepiej wyzyskać. Gimn. im. Zamojskiego poprawnie recytowało J. Tuwima „Lokomotywę”; „Na Aniol Pański” — K. Tetmajera wykonał zespół kl. IV dobry głosowo; układ muzyczny — stereotypowy.

Ogólne wrażenie:

Szwankowała dykcja i gestykulacja. Nastrój na sali bardzo sympatyczny, szkoda, że widzowie za głośno wypowiadali swoje uwagi. Kasa wyprzedana. Trudnemu zadaniu konferencjerki podołali z wrodzonym wdziękiem: kol. Podgórski i kol. Siekierycki, dyskretnie na fortepianie akompaniował ktoś, efektów świetlnych nadużywał kol. Pełczyński.

„Wieczór inscenizacji i recytacji zespołowych” stanowił udany eksperyment, wykazawszy nie wykorzystane dotąd możliwości szkolnego teatru.

j. p.

Recenzje. Wiadomości.

Teatr Wołyński.

Już gatunek pracy zespołu Teatru Wołyńskiego, typy pracowników, wraz ze zdecydowaną linią repertuaru, będącą odbiciem wybitnej indywidualności artystycznej kierownika teatru wywoływał niegdyś okrzyki szczerzego zachwytu. Indywidualny styl widoczny w każdym szczególe, od graficznego układu afiszów poczynawszy, aż do interpretacji i wykonania sztuki oddziaływał silnie na publiczność. Wysoki poziom wystawianych sztuk o dużym ładunku emocjonalnym i wybitnej wartości artystycznej atakował statyczny stan widza, rozbudzał jego czynniki uczuciowe. Stąd też poprzez przeżycie widz zbliżał się do autora uczuciowo i pozostawał wiernym odbiorcą jego sztuki.

Teatr Wołyński wychowywał artystycznie w dużej mierze. Szczególnie młodzież, której życie psychiczne jest nieustannym wrzeniem uczuciowości, organizmem rozrastającym się i dalekim od skrzepnięcia, tym łatwiej ulegała sugestii i czarowi żywego słowa. Ileż to ktoś

z młodzieży zetknął się z Teatrem Wołyńskim wsiąkał w niego całkowicie, odrzucając na długi okres czasu konkurencyjne dla teatru kino. Suma doznań artystycznych i przeżyć wyniesionych z teatru przez trzy lata jego działalności na terenie Lublina stanowi niewątpliwie dużą pozycję w kształtowaniu się osobowości wielu z młodzieży.

A i to jest charakterystycznym, że ilościowy udział młodzieży na przedstawieniach T. W. pozostał dość znaczny dzięki swoistemu werbowi prowadzonemu przez młodzież wśród młodzieży. Odbывало się to spontanicznie, poza ramami jakiegos nakazu czy wyrachowania, ot siłą zachwytu, siłą przeżycia treści sztuk oglądanych w teatrze.

Swój stosunek do T. W. wyraziliśmy już niejednokrotnie bądź to na łamach czasopism młodzieżowych („Kuznia Młodych” Nr. 15, R. 1935. „W Słońce”), bądź w licznych polemikach i dyskusjach dokonywanych w trybie życia szkolnego.

I oto obecny sezon wstrząsnął podstawami zapалу i zwałił go wprost z galerii na dół.

Niedosyt myślowy, emocjonalny, artystyczny obecnych sztuk wzrasta z siłą proporcjonalną do dawnego zachwytu i uczuciowego wkładu. Uderza w obecnym sezonie jakiś zygzak linii repertuaru, to przeskakiwanie po kamieniach przeciętności, nieznaną dotychczas niedbałość o poziom wykonania, a wszystko razem **uległość wobec przemocy snobizmu mieszczańskiego**. Tu jest punkt stykający wszystkich sztuk, na tej płaszczyźnie, gdzie zarysowują się wyraźne kryteria kasowe, ubóstwiany niegdyś teatr zbliża się do pospolitego przedsiębiorstwa artystycznego. Trzy punkty wyznaczają tę płaszczyznę:

- 1) Repertuar złożony z t.zw. „lekkich” sztuk.
- 2) Upodobnianie się pod względem repertuaru do scen stołecznych.
- 3) Przesada reklamowa.

Istotnie w okresie złej koniunktury finansowej zły gust publiczności (mieszczański „Biedermaier”) zmusza sztukę do upodabniania się na jego obraz i podobieństwo.

Oto anegdotę zastępuje morfina pospolitej sensacji, treść emocjonalną wypełnia tani sentymentalizm i przewaga erotyzmu w pospolicie banalnym ujęciu, o oryginalności i powabie formy dramatu nie ma mowy. Grzeszki, kłopoty

ciki, dykteryjki i uśmiechy zacinanego życia zaludniają scenę. Artyzm gry artystów zastępuje wystawa najnowszych modeli sukien z konfekcji p. Łuszczewskiej lub gest i dowcip o za-barwieniu farsowym.

A właśnie z tego wyrastają sztuki Kiedrzyńskiego, taka jest „Dr. Julia Szabo”, „Wielkie” i małe „miłości”, „W Cukierkach” lub we „współczesnych małżeństwach”—czyli większość repertuaru obecnego sezonu.

Popularność tych sztuk zasadza się na nie-naruszaniu stanu psychicznego u płaczącego widza. Sentymentalizm erotyczny oplata widza lekką mgłą i wychodzimy z teatru z uczuciem błogości. To samo uczucie towarzyszy nam po dobrym obiedzie lub udanej randce. Zyskują jedynie na nateżeniu procesy fizjologiczne. Sztuka staje się niemoralną, bo brak w niej silnej prawdy artystycznej. Nie chodzi tu o moral. „Dowód osobisty” M. Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej w swoich silnych akcentach podno-

szących instynkt miłości do najwyższego prawa, wydaje się z punktu etycznego niemoralny a jednak sztuka jest dobra i oddziaływa dodatnio na widza. Natomiast potężna bryła zagadnienia moralnego, jakim jest „Wróble gniazdo”—nie przepracowana artystycznie, raczej deprawuje. Patrząc na wysilek artysty, który z tego surowego morału stara się wydobyć szczere i silne akcenty męczy i buntuje przeciw wszelkim moralom. W obecnym sezonie widzieliśmy właściwie jedną sztukę o potężniejszym zakroju. „Ludzie na krze”—Wernera. Prostymi środkami artystycznymi skondensowano tu olbrzymi problem współczesnej młodzieży i beznadziejność walki starego pokolenia z narastającą rzeczywistością.

Nie chcemy robić zarzutu T. Wołyńskiemu, wiedząc, że rozmaite przyczyny warunkują taki dobór sztuk. Stwierdzamy tylko obecny niedosyt, ale z ufnością czekamy na „Orlątko” Rostanda i szereg innych przewspaniałych sztuk jako rekompensatę za ubiegły niedobór. ss.

SPORT.

M. K. S. w Lublinie.

Sprawa udziału młodzieży w pracy klubów pozaszkolnych—przyczyna cichych tragedii młodych sportowców, zdaje się być rozwiązana. Dla sportowców, u których istnieje szczerza potrzeba wyzycia się sportowego, a nie młodzieńczy wigor i kompleks przeciwstawienia się, teren szkolny okazuje się wystarczającą przestrzenią. Jeśli przedtem teren szkolny nie dawał tych możliwości, to zerkania młodych sportowców w stronę zakazanych terenów miały swoje uzasadnienie. Zdaje się jednak, że obecnie M. K. S-y przygotowały warunki, w których młodzi sportowcy mogą nabrać odpowiedniego rozmachu. Fakty stwierdzają, M.K.S. lubelski stanął na poziomie klubów pozaszkolnych, a nawet często wysuwał się na czoło życia sportowego naszego miasta. Należy przypomnieć rok 1934 i zdobycie przez M. K. S. nagrody p.woj. Różnieckiego dla zwycięskiej drużyny w ramach święta W. F. i P. W. Również sport hokejowy zorganizowała właściwie młodzież i pobudziła kluby pozaszkolne do pracy w tym kierunku. Ostatnio spotkanie towarzyskie M. K. S. z estońskim klubem świadczy, że z M. K. S-em liczą się poważne czynniki sportowe. Osiągnięte wyniki dorównujące wynikom klubów pozaszkolnych, wypracowane były poprzez świadomą i celową i regularnie prowadzoną pracę. M.K.S. nie korzystał

z pracy innych czynników, które by przygotowywały sportowo młodzież, a tylko wyniki przez nią osiągnięte zostały zapisane na konto M.K.S-u. Wytrwałość w pracy świadczy o pewnej dojrzałości organizacyjnej klubu. Jednak same momenty sportowe nie wyczerpują walorów, jakie posiada M. K. S. Ten klub młodzieży świadomie i konsekwentnie przeprowadza akcję ukulturalnienia sportu i podporządkowania go jego właściwemu zadaniu — harmonijnemu dopełnianiu człowieka. Ten fakt każe widzieć przewagę M. K. S-u nad innymi klubami i czyni go dodatnim czynnikiem w ramach życia szkolnego.

Szczególnie na terenie lubelskim M. K. S. w ostatnich latach był organizacją, która wykazywała dużo dynamizmu w pracy i ugruntowała współzycie między młodzieżą. Systematyczne wykluczanie z atmosfery sportowej brutalności zawodniczej i rekordomaniackiej bezwzględności, rodzi zupełnie inne kategorie myślenia sportowego i zbliża pojęcie sportu do greckiego wychowania fizycznego, które było połączeniem piękna estetycznego z siłą i radością. Obiektywnemu widzowi niesportowcowi, rzucając się w oczy właśnie te momenty i one pozwalają na wzniosłość tamtych określeń.

Oczywiście nie jest tu przewidziany szereg spraw natury technicznej w pracy M.K.S., które mogłyby uwypuklić sportową wartość klubu, dla nas najważniejsze są jego walory wychowawcze.

Odpowiedzi...

Nadeszły materiały. Dużo wierszy. O jesieni, ideologii, blaskach i cieniach życia przeciętnego ucznia — smutne i wesole.

Można czytać różne charaktery pisma, przerzucać kartki, zastanawiać się, porównywać.

Ale najtrudniej jest odpowiadać i radzić.

Jak trafnie powiedział Georges Duhamel („O poezji“): „Nie podobna udzielać rad poetom — chyba co do kupna papieru i wyboru wydawcy. Nie podobna też nie radzić pisarzom, co układają wiersze, nie będąc poetami, ponieważ jedyna rada roztropna (a której nigdy nie usłuchają) brzmiałaby: zawiesić lirę na kolku“.

Dlatego też nie należy oczekiwać od nas autorytatywnej krytyki, czy cennych wskazówek. Chodzi po prostu o rozmowę z autorami. Zwykłą rozmowę, która miałaby na celu zbliżenie współpracowników i sympatyków do pisma.

Na pierwszy ogień idą prace „Pajaka”. Na łuku nieba zawisł daleki księżyc — rozszrebrza okna. Mglisto rozstapają się wszystkie kształty, krople deszczu przylotują „szczęścia niszczące”, „tęsknotę dalekich ław”, wspomnienia z przed lat „dawniej”.

Forma często ciekawa, błyskotliwa, ale zdarza się niestaranność, urywane, chropowate zdania, albo niepotrzebna pedantyczna skrupulatność opisu.

Warto preczować, bo „Pajak” zapowiada się naprawdę dobrze. Coś wydrukujemy. Tymczasem proszę o nas nie zapominać.

Mile wrażenie wywierają „Liście” kol. W. H. Motyw i ujęcie nieco konwencjonalne, wersyfikacja staroświecka, szczerść, prostota, bezpośredniość niwelują usterki. „Zamierzający czar jesieni” — inne określenia — ładne, tylko za mało oryginalne. Należałoby czytać współczesnych poetów.

Nowela Jana Z. przypomina gabinet osobliwych okropności, filmy Borisa Karloffa i bajki, którymi nianki straszą niegrzeczne dzieci.

„Smagał ją spojrzeniem jak biczem... Teresa wyjrzała przez łufkę, a później śmiała się złowrogo śmiechem pijanych karawanierzy... Edward poglądził lśniąca łufę rewolweru: Jutro mój pogrzeb... profesor tworzy elektrycznego upióra... Teresa z łękiem w otwartych ustach“.

Oczywiście czytelnik łatwo domyśla się, że Teresa zostanie uduszona w „Domu Grozy”, a Edward powiesi się na krakwie. Jasne.

Straszne!

Podobnie wielbicielem makabrycznych efektów wydaje się być „X. Zamość”, autor regionalnego poematiku p. t. „Wielkanocne spotkanie”, czyli kochajmy się“.

„Z jankiem w pysku

Na półmisku

Prosię leży

Zęby szczerzy...”

Brr! Zwłoki prosięcia niewinnego, które szczerzy zęby — drżę na samą myśl. Stanowczo nie wypada dawać czytelnikom większej porcji. Wystarczy celniejsze wyjątki.

Za to skrzy się od humoru „Wiersz dla maturzystów”. Alf, opiewający dzieje sztubackiej miłości. Nietety. Bezbrzeżnie tragiczne jest zakończenie:

„A potem... miłość skrzydła im dała
Tęsknot, nadziei blask,
Przyszła matura — Zosia nie zdała,
Jego wyleli na pył“.

Nie macie racji, kol. G. twierdząc, że: „Najlepiej pisać w ukryciu, nie nie pokazywać i nie drukować“.

Często wiersze są „dla nikogo” niezrozumiane i nieocenione. Ale chodzi o co innego. Ktoś nazwał poetów stacjami nadawczymi, które wysyłają w świat fale swoich myśli i wzruszeń. Czytelnicy — to odbiorniki, które mogą odbierać czyjeś sygnały. Warto choćby dla kilku odbiorników nadawać swoje audycje, a pustelnicze traktowanie poezji, dobre okresami dla uzyskania głębi i poznania samego siebie, na stałe mimo nimbu tajemniczości nie przynosi nikomu korzyści.

Sympatycznie wypadają opisy wsi, rzeki, terkoczącego młyna, lasu, słabiej „Kąpiel życia (!)” „Dziady” „Ikar odrodzony”.

Wszędzie zaznacza się nuta smutku, cichego „jak zmrok zapadający”, melancholii długiej, jak wlosz wędrownych w pokoju kwiatów. Koloryt nie daje złudzeń radości.

Nierówna, chaotyczna forma obniża wartość wielu ciekawych porównań. Onomatopoeję t. j. naśladowanie dźwięków natury należy stosować bardzo ostrożnie. Lepiej unikać postaci bezpośredniej: „kwa, kwa”. Nawet w piosenkach dla pierwszego oddziału szkoły powszechnej „hau — hau” i „pif — paf” jest anachronizmem.

Język żywy, ale niezbyt szczęśliwe chwytły („gęga — gęgi“).

„Jot” ma zdolność do miniatur a la M. Jasnorze-wska-Pawlikowska.

„Świt i Różę” cechuje bystro, wnikliwa obserwacja i udatne oprowanie efektami malarskimi. „Wschód”, „Deszcz jesienny” — zupełnie słabe (usterki rytmiczne, gramatyczne rymy).

Najwięcej podobał mi się wiersz, dedykowany Matce „w tym sterym, żółtym szalu, o miękkich szarych włosach i dziewczęcym sercu”.

„Na wsi” — nieortograficznie wypracowanie dla celów przyrodniczych zasługuje najwyżej na „trzy z dwoma”. Jak można tak zoikostalczyć naturę!

„Szkoda młodości, gdy się marnuje
Szkoda...” i t. d. „P”

Szkoda, że twórca ten całkowicie stanowi streszczenie „swoimi słowami” podobnego fragmentu z „Poezji” Asnyka. Chyba nieświadomie.

Naprawdę szkoda. Nie możemy drukować nawet ze względu na cały szacunek dla autora „Nad głębinami...” „Miasto” — lepsze. Czy nie odpowiada bardziej kol. proza?

Niezatytułowany poemat (10 części anonimowej autorki).

Czasami bywają chwile, kiedy zastanawiamy się nad życiem, a później gorączkowo formujemy zdania. Poemat pozornie — o niemrawe rymowane zwierzenie się zapomnianej łalce — symbolowi dzieciństwa. Głębiej znajduje się niewypowiedziany brak czegoś nieznanego w ci-
szy zadumań i zasmucenia.

Mile chociaż jeszcze nie dla „W słońce”

Osoba, kryjąca się pod pseudonimem H. jest zakochana.

Nieszczęśliwie — rozumie się bez wzajemności. Złamane serce.

Do tego tworzy erotyki. Exempulum:

Do mego... kogoś...
„Ty jesteś moim słonkiem
Co świeci na niebie wysoko
Ty jesteś moim skowronkiem,
Za którym goś me oko.
Ty jesteś moją gwiazdyczką.
Co jasno świeci w nocy.
Zdasz się być niedaleczko,
Lecz mieć Cię nie w mej mocy” i t.d. w ten
[deseń 24 wrotki.

Bez komentarzy.

W innym wypadku wyżej cytowana autorka odzwierciedla nastroj „prywatki” ze wszystkimi rekwiizytami: herbatą z paczkami i gramofonem, walcząc o palmę pierwszeństwa z Andrzejem Włosem:

„Tad trzyma w rękach kotka,
Jur gra „hawajską noc”,
Jureczek wciąż szepcze pieszczotki
Nastroju moc”.

„Iris” — „Burza w maju” — sztuczne. Może kol. da inne prace?

Proszę nie myśleć, że młodzież nasza jest bezideowa. Bardzo przepraszam!

„O nasze pismo „W Słóńce”
Powstaj z nocnych mar
I w serca młodzieży gorące
Rzucaj miłości żar! (Il kl. k.)

„Stefan Wachowicz” z dramatycznym patosem woła w obszernym artykule: „Chanba! Młodzież obojga płci zachęca się na Krakowskim...”

Od czego gniją kajaki na Bystrzycy (!!!)!”

Tendencje niewątpliwie szlachetne. Tylko ortografia.

Jerzy Y. zajmuje się kwestiami teoretycznymi w „Uwagach na temat liryki”.

Czołowe stanowisko liryki w klasyfikacji gatunków literackich datuje się oddawna. L. Pomirowski stwierdza, iż „ona inicjuje epokę, przynosi nowe ładunki uczuciowe, nowe formy i zapowiedzi; zapala atmosferę nadziei nowych przeobrażeń”.

Najdokładniej podaje definicję I. B. Markworot:

„Utwory liryczne pod względem formalno-gatunkowym są to stosunkowo krótkie rytmiczne dzieła sztuki słowa, które wyodrębniają pewne przeżycie jako względnie ograniczone (przedmiotowo i czasowo) wycinki z przyrodnej płataniny rzeczywistości i usiłują utrwalić je w odbiciu językowym.

Od strony zawartościowej liryka jest zespołem wszelkich działających wartości sztuki słowa, które w pew-

nej mierze są nośnikami jakiegoś jednolitego nastroju i dają swojej fali nastrojowej wybić w rytmie”.

Powszechność liryki bez względu na formę pozwalała doszukiwaniu się jej genetyz w czasach bardzo dawnych: „Zbytecznym jest sięgać do wywodów l. z synkretyzmu u sztuk w obrzędzie czy zabawie, do powstania pieśni z rytmu pracy, czy piasów, do związku rytmu z fizjologią człowieka. Wystarczy stwierdzić historyczną niewątpliwą fakt, że l. wszędzie gdzie możemy obserwować jej samorodne powstanie (szczególnie w lit. greckiej) zjawia się jako pieśń, w dosłownym znaczeniu jako słowo śpiewane, realnie związane z melodią” (K. Zawodźniński), Julian Tuwim w „Czytaniu na Boga” mówi:

Liryka.
„Płynność... płynność... falistość...
Rytm wieczornych dostrzeżeń...
Drżąca żywa rękawica...
Śnieg wstydlivosti i wierzeń”.

Utwory kol. J. H. zewnętrznym wyglądają jakby niepozornie. Pisane t.zw. białym wierszem, rzadko dla akcentacji używając rytmu posiadają ukrytą melodię, dźwięczność i jakiś nieuchwytny wdzięk.

Dominiuje tęsknota za czymś niewypowiedzianym, ale jednocześnie pełno szczerzej pogody dobrych smug błękitu, uśmiałowania natury; samotność długich, uspionych ciszą wieczorów, powtarzanych szepem zwierzeń wpływa na rozpożytywanie codzienności zdarzeń zwyczajnej rodzinnej serwetki, firanek i kwiatów, rzeczy związanych z naszym domem, z nami.

Szumem rozkołysze się las „we mchach największych i strzelistych trawach — księżycową nocą załśni „Ballada o pocię”, dedykowana K. l. Gączyńskiemu. „Wiersz muzyczny” — drukujemy.

Kobięta delikatność tkliwości i subtelność, serdeczne jasne spojrzenie w stosunku do otaczającej rzeczywistości („Świat ukochać — to zostać świętym”), refleksyjność, brak dyscypliny formalnej (nadmierz swobody) charakteryzuje te dziwne i najprostsze wiersze.

W ostatniej chwili otrzymaliśmy „Przedwiośnie” J. dąwigi K. Taki bardzo miły, sympatyczny wiersz o rozłożonej ulicy, kiedy:

„Powiew wesóły, radosny falą do serca wieje —
Są w nim uśmiechy wiosny, są jakieś dobre
[nadzieje”.

O oczekiwaniu na wiosnę pisano już bardzo wiele, ale z przyjemnością czyta się o takich stanach duchowych, które powtarzając się przynoszą szczerzy uśmiech zadowolenia. Życzymy powodzenia.

Na tym kończy naszą rozmowę „zajmującą pod względem treści i miejsca”. Autorki i Autorzy! Pisujcie jak najlepiej jak najlepszych wierszy i nie gniewajcie się na
Jerzego Pleśniarowicza

Redaktor odpowiedzialny dr. P. Gdula.

Za redakcję: S. Skoczylas.

Komitet Redakcyjny: Bier A. — Chojński W. — Chrostowska A. — Dering J. — Doleżko M. — Fiszhaut J. — Gilarowska H. — Hartwiżanka J. — Kokosiński K. — Pleśniarowicz J. — H. Gromko — Pleskotówna. — Romanowski H. — Stankiewiczówna K. — Wellówna. — Próchniarska.

Wydawca: Samorząd Państw. Gimn. im. Het. J. Zamojskiego.

Drukarnia „Narodowa” Leona Milarskiego Lublin, Krakowskie-Przedmieście Nr. 78, telefon 26-73.

KOMUNALNA KASA OSZCZĘDNOŚCI POWIATU LUBELSKIEGO

w Lublinie, ul. Kapucyńska 4. Telefony: 13-33, 27-88.

Załatwia wszelkie operacje finansowe przewidziane Rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 24.X.1934 roku (D.U.R.P. Nr. 95 poz. 860).

Przyjmuje wkłady i lokaty oszczędnościowe ze statutowym oprocentowaniem. Tajemnica wkładów ustawowo zagwarantowana. Terminowy zwrot wkładów jest zabezpieczony nie tylko majątkiem Kasy, podatkami komunalnymi oraz majątkiem związku poręczającego, ale funduszem gwarancyjnym Związku Kas Oszczędności.

Lokata w K. K. O. zasila przemysł, rolnictwo, handel i usuwa bezrobocie.

Rok założenia 1892.

**CZAPKI
SZKOLNE
I SPORTOWE**

z własnej pracowni poleca:

S. JANUSZEWSKI

LUBLIN
Kapucyńska 2.
Telefon 15-40.

**SKŁADNICA
SPORTOWA**

„OLIMPIADA”

W LUBLINIE

przy ulicy Kościuszki 1, telefon 21-38.

Posiada stale na składzie
kostiumy gimnastyczne dla
— — — szkół. — — —

SKŁAD PAPIERU BCIA KESTENBERG

LUBLIN.

Krakowskie-Przedmieście 62 i 54, telefony: 24-40 i 29-40.

Polecamy bogaty wybór
materiałów piśmiennych po cenach
— — — — —
zniżonych. — — —

Sprzedaż hurtowa wszelkich papierów oraz
zeszytów, brulionów i t.p. dla Samopomocy
— — — — —
szkolnych. — — —

DRUKARNIA NARODOWA LEONA MILARSKIEGO

w Lublinie, Krakowskie-Przedmieście 78, telefon 26-73.

Wykonuje wszelkie roboty w powyższym zakresie
SOLIDNIE, TERMINOWO I PO CENACH NISKICH.